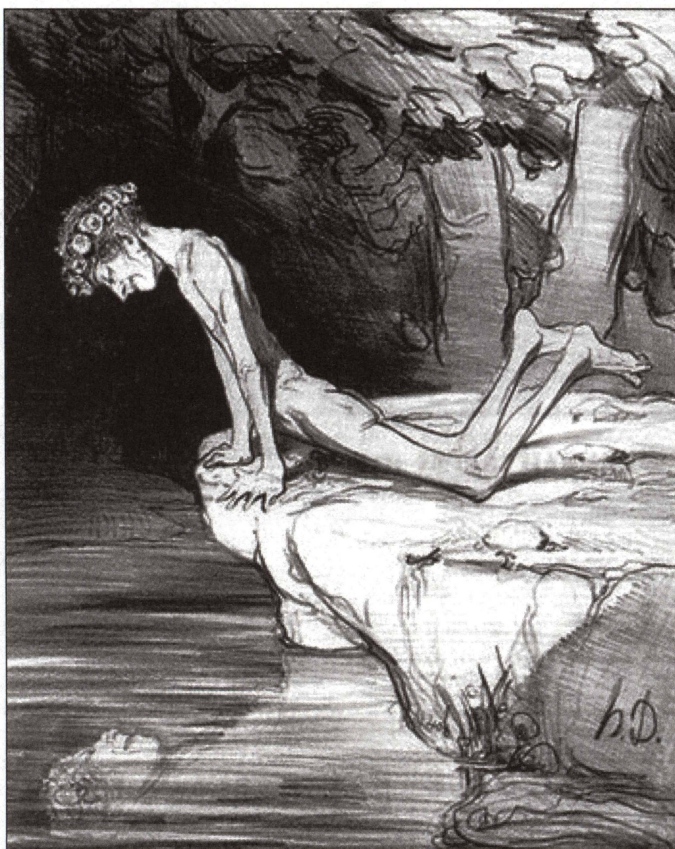


## ■ NARKOTYK

Pamiętamy mit o Narcyzie. Piękny młodzieniec zakochany w swym odbiciu w rzece wpatrywał się w nie tak intensywnie, że aż wpadł do wody i utonął. Na brzegu wyrósł kwiat, któremu dano jego imię. Ale w grece *Narkissos* to nie tylko imię bohatera mitu i nazwa kwiatu, lecz również określenie narkotyku. Narcyzm to mityczny wzór uzależnienia się od siebie, od miłości własnej, prowadzącej do autodestrukcyjnej regresji w nieświadomość i do powrotu do łona. Rezultatem jest mroczne, narkotyczne pogrążenie się we śnie, niewola, bowiem narkotyk miłości własnej uzależnia tak, jak heroina, alkohol czy papierosy. Z tą różnicą, że nie zabija ciała, natomiast zatruwa duszę.



Honoré Daumier, „Narcyz”

Jacek Dobrowolski

25

# NASKÓRKOWY TEATR NARCYZA

Narcyz podziwiał swoje oblicze, nie cudze, był zachwycony sobą i tylko sobą. Gdy przechodzę obok zakładów fryzjerskich i widzę kobiety i mężczyzn gapiących się jak zahipnotyzowani w lustra, podczas gdy wokół nich tańczy fryzjer czy fryzjerka w rytm hip-hopu dobiegającego z radia – widzę królestwo Narcyza. Kiedy w telewizji patrzę na pokaz mody, na giętkie postacie modelek sunących po wybiegu, to najbardziej przykuwają moją uwagę ich nieruchome twarze, zimne, odcięte od uczuć. Kamienne miny kontrolujące autoprezentację: patrzcie na mnie.

Narcyz to człowiek, który skamieniał. Czasem jego kamienny uśmiech gości na twarzach polityków, prezentując śnieżną biel implantów. Nie jest on skierowany do konkretnej osoby, to tylko uniwersalna mina. Narcyzowi inni są potrzebni tylko po to, by go podpięrać w samoułudzie, by mógł się odbijać w ich adorujących oczach. Narcyz bez odbicia, bez adorującego audytorium nie istnieje.

Je. Jednakże nawiązanie głębszej relacji, wymiana emocji i uczuć może popsuć wystudiowaną minę. Jak jestem piękną czy ważną twarzą, nie mogę jej rozluźnić, muszę nosić swoją maskę, bo jestem tylko maską. Bez niej byłbym tylko szeregowym nikim. Rzymianie nazywali maskę teatralną *persona*. Współcześnie to słowo nabrało znaczenia „osobistość”. W naszym teleświecie maska stała się osobistością!

## ■ TWARZ-MASKA I SKÓRA-KOSTIUM

Ludzka wyobraźnia zdominowana jest przez postacie człowiecze, szczególnie przez twarze. Twarz matki wdrukowuje się niemow-



lęciu jako pierwsza. To twarz najważniejsza. I to, co ona komunikuje, decyduje o naszej emocjonalności. Kolejne twarze też mają wpływ. Rozpoznajemy je w ułamku sekundy, podprogowo, instynktownie. To rozpoznanie prowadzi do momentalnej reakcji *fight, flight or freeze* (walcz, uciekaj lub znieruchomiej), jak to nazywają zoolodzy. Orientacja: swój czy wróg, decydowała na stepie czy w dżungli o naszym życiu. Myny mają więc charakter adaptacyjny i często skrywają nasze prawdziwe intencje. Ale mina też ma komunikować to, co chcemy przekazać innym, czyli światu: jestem piękna, jestem silny, jestem mądry. Czytanie ludzkiej twarzy jest wielką sztuką, jest to ważne nie tylko dla poznania naszej psychologii, ale też dla diagnozowania naszego zdrowia, czego precyzyjnie uczy orientalna medycyna. Maską Narcyza jest łatwa do zdiagnozowania – to zatrucie miłością własną.

Od czasu przełomowego studium Christophera Lascha *Kultura narcyzmu* z 1979 roku, w którym poddał on kulturę amerykańską druzgoczącej krytyce, konstatacja, że taki jest cały Zachód z racji inwazyjnego charakteru mediów wzorowanych na popkulturze z USA, jest banalna. Niemniej, mimo że to wiemy, sytuacja się stale pogarsza i nie wolno nam wzruszać ramionami i przestać protestować przeciw terrorowi banału i tandety. Musimy powtarzać i na nowo formułować oczywistą diagnozę. Nie wystarczy nie oglądać telewizji.

Wiemy, że we współczesnym świecie sprzedaje się swoją twarz, swój wizerunek jako swoją idealną osobowość. Najważniejsza w nim, prócz miny komunikującej upragnione cechy charakteru, które mają nam przysporzyć zwolenników czy wyznawców, jest skóra. Musi być młoda, musi być *seksi*. Nie może się świecić, nie może mieć zmarszczek, nie może być za biała, nie może być zbyt opalona. Ważna jest nie tylko skóra twarzy. Ponieważ żyjemy w epoce kultu obnażonego, „wyzwolonego” ciała, ważna jest cała skóra, która ma stać się naszym kostiumem. Nawet prezydenci prezentują torsy, jak niedawno Putin. Czasem prezydentom retuszuje się fałdy na brzuchu, jak ostatnio Sarkozy’emu. Reklamy w TV i w pismach kobiecych oraz artykuły ekspertów zachęcają do obsesyjnej pielęgnacji skóry, do peelingu, liposukcji, usuwania cellulitisu, stosowania setek kremów dziennych, nocnych, odżywczych i ujędrniających, protektorów od słońca oraz kremów opalających, maseczek ziołowych i błotnych. Jest to

temat każdego numeru tych pism od lat. Biznes gabinetów kosmetycznych, SPA i *beauty farms* rozkwita. Gdyby tyle samo starań poświęcano trosce o duszę, żylibyśmy w świecie wysokiej kultury.

W biznesie ludzkiej skóry zachęca się też do działań mocniejszych: odmładzający lifting ma dać wiecznie młody *look*. Podobnie ma nas odmłodzić przykrawanie i szprycowanie silikonem biustu i pośladków pokonanych przez grawitację oraz operacyjne usuwanie tłuszczu z brzucha. Nie mówiąc o zmienianiu kształtu nosa, powiek, policzków i szczęk. Ważne jest też odchudzanie, u modelek prowadzące czasem do anoreksji. Kiedy nasza maska i kostium skórno-ubraniowy odpowiadają modnemu wizerunkowi, możemy się lepiej sprzedać na telerynku czy politycznej teleogrodzie. Zanim jednak wystąpimy na telescenie, oglądają nas wizażyści, kosmetyczki i najrozmaitsi specjaliści od spin doktorów, czyli doradców polityków, po piarowców i wydawców programów TV i pism kolorowych. Mamy być *trendy* jako klony najlepszych wzorów z wielkich metropolii, a raczej ze studiów telewizyjnych i fotograficznych wielkich metropolii. Dopiero wtedy będziemy gotowym produktem naskórkowej cywilizacji Narcyza, demonstrującym „silne parcie na szkło”. Powtarzam, skóra i mina w naszej cywilizacji Zachodu są najważniejsze, mają bowiem pokazać, że jesteśmy lepsi od tych, których na taką skórę i taką minę nie stać, zarówno w obrębie naszej cywilizacji, jak i poza nią. Prezentując naskórek, czujemy się duchem wyżsi.

## ■ KULTURA NEKROFILNA

Prócz głównego nurtu telekultury Babilonu istnieje też, tolerowany jako wentyl bezpieczeństwa, nurt alternatywny. Tu mamy całą gamę zbuntowanych młodych – od anarchistów po ekologów-fanatyków i artystów-ekshibicjonistów. Ich skóra jest często wytatuowana, poprzebijana kolczykami czy bolcami, lecz nie jest to tatuaż inicjacyjny, czyli skaryfikacja, jak u tzw. ludów pierwotnych. Choć zbuntowani tatuowani na głowach mają często dredy wyznawców Lwa Judy Cesarza Haile Selassiego, zbawiciela rastamanów z Jamajki, ten bunt przeciw oficjalnej zliftingowanej opalanej gładzi jest też manifestacją narcyzmu, choć *à rebours*. Jest to narcyzm zbuntowanego miejskiego dzikusa postmodernisty, bobrującego w śmietniku cywilizacyjnym. Wychowani w miejskich dżunglach, tę-



sknimy, za szczęśliwym dzikusiem na wzór Jean-Jacques'a Rousseau, Daniela Defoe oraz Jamesa Fenimore'a Coopera – piewcy Sokolego Oka. Wszędzie szukamy niewinnych Adama i Ewy i ich raj. A jak jesteśmy zbuntowani na odwrót, to nasz Adam może być ludożercą, a nie tylko amatorem jabłek. Stąd wyprawy do coraz to egzotyczniejszych miejsc po coraz to bardziej osobliwe wzory masek i kostiumów. W Londynie widziałem młodzieńca z dużą kością w przegrodzie nosowej. Tak czuł się dobrze. Zwracał uwagę. Mam nadzieję, że nie była to kostka obgryziona po konsumpcji bliźniego, nawet zwierzęcego, lecz z plastyku.

Ostatnio modny jest *body art*. Artyści nacinają się do krwi, by nas epatować. Nacinanie bywało formą pokutnych rytuałów Azteków czy biczowników w dawnej Europie, pełniąc zupełnie inną funkcję. Współczesne nacinanie skóry do krwi w galeriach sztuki jest aktem zbuntowanego narcyza, ale przypomina bardziej psychopatyczne „chłastanie się” kryminalistów żyletką niż akt twórczy czy religijny. Gdyby epigoni krwawych rytualistów chociaż oddawali krew w stacjach krwiodawstwa... Nic z tego. Przelewają krew na próżno.

Zgłuszeni naszą mechaniczną kulturą, zardzościmy naturalnej spontaniczności tzw. ludziom natury i naśladowujemy „dzikusów”. Oczywiście przynajmniej, że kolorowi mają piękniejszą skórę, ale jednak większość naszych modelek i modeli to opaleni ludzie biali, przeciwko czemu protestuje gwiazda wybiegu Naomi Campbell, zakładając w Nairobi agencję wspierającą dyskryminowane kolorowe modelki. Kradnąc ich skórę, chcemy też ukraść ich duszę i sprzedać im naszą ideologię globalnego konsumeryzmu. W końcu od setek lat nasza drapieżna cywilizacja żywi się innymi cywilizacjami, ba, pasożytuje na nich. Zanim je zniszczyliśmy, wysyłałiśmy do nich misjonarzy, kupców i naukowców. Nim je skolonizowaliśmy, czy to siłą militarną czy siłą naszej gospodarki i handlu, zapełnialiśmy ich dziełami nasze muzea, te grobowce ludów zarówno dawno przepadłych, jak obecnie zdominowanych. A potem przejmowaliśmy od nich to, co pobudza naszą modę i ożywia nas. Niech galerie zapełnią się japońszczyzną i chińszczyzną, sztuką Afryki, Azji, Oceanii i Arktyki. Jesteśmy bowiem duchowo niemal martwi i jako nekrofile kulturowi odżywiamy się innymi kulturami półżywymy lub całkiem martwymi.

W odżywianiu się zmarłymi wydatnie pomagają nam archeolodzy. Na przykład mody na Egipt pojawiają się u nas okresowo od czasów napoleońskich. Ktoś mógłby gwałtownie zaprotestować: Ależ nas naprawdę interesują kultury tych egzotycznych ludów! Owszem, interesują nas, ale przede wszystkim jako inspiracja. Chcemy je ratować przy okazji ich konsumowania. Jak ktoś żyje teatrem, to będzie kolekcjonował tropikalne rytuały egzotycznych ludów, aż chwyci go tropikalny bzik, który sprawi, że poczuje się inaczej. Ale czy ktoś taki naprawdę zainteresuje się codziennym życiem tych ludzi, kiedy nie mają na sobie pióropuszy? Czy ktoś taki będzie myślał, jak ulżyć ich doli jako outsiderów i statystów w naszym teledziwie? Turystyka rytualna bywa tylko formą wyrafinowanego konsumeryzmu. Wielu artystów, zachęconych przez antropologów kulturowych, powiada tak: Nasze rytuały straciły moc, zabierzmy więc rytuały innym. Podpatrzmy i zaadaptujmy z czyjegoś szamanizmu to, co nam odpowiada. Zgoda, jest to wysiłek kolekcjonera czy złodzieja, ale o ileż szlachetniejsze byłoby stworzenie własnych pieśni, własnych wizji, własnych tańców i własnego wysokiego dramatu i teatru. Niestety, nie widać nowego Eurypidesa, Dantego, Shakespeare'a, Goethego czy Becketta.

Nie zgadzam się z twierdzeniem nowomodnych krytyków, że Sarah Kane – autorka brutalistycznych dramatów – to Shakespeare naszych czasów. To, co stworzył genialny stratfordczyk, jest przeciwieństwem redukcjonistycznego brutalizmu, jaki reprezentowała ta nieszczęsna samobójczyni. Dla niego los ludzki był tragikomiczny i wielowymiarowy, rozpięty między piekłem a niebem. Dla niej jest tylko piekielną męką. Niestety, przedstawiciele nowego brutalizmu nie rozumieją, że dokumentacje aktów rozpaczki nie wyczerpują prawdy o człowieku. Te dzieci Yukio Mishimy, który fotografował się upozowany na poprzebijanego strzałami św. Sebastiana, mogą się dręczyć, katować i zabijać, ale nie przestaną być narcystycznymi nihilistami, jeśli nie rozszerzą swej wąskiej perspektywy. Nie pomogą też transplantacje egzotycznych rytuałów do współczesnego teatru, jeśli będą one używane ku własnej gloryfikacji, choćby stracić.

W 1970 roku byłem na festiwalu rockowym na wyspie Wight, gdzie grał mój ówczesny bóg Jimi Hendrix, a także m.in. Miles Davis, The Who i Donovan. Każdy z wyko-



nawców powiedział kilka ciepłych słów do audytorium. Natomiast indiańska pieśniarka Buffy St. Marie zwróciła się do setek tysięcy hipisów z pretensją: Kto wam pozwolił wkładać te indiańskie opaski na włosy, wpłatać pióra i koraliki? Powiało wstydem, bo nie pytaliśmy Indian prerii o ich zgode.

Kilka lat temu starszyzna plemienia Lakota Sioux oficjalnie wypowiedziała wojnę białym „plastikowym szamanom” kradnącym religijne rytuały. Tekst *Lakota Declaration of War* brzmi bardzo poważnie. Zakazano inicjować białych, zakazano też brać pieniądze za inicjacje, by Indianom zdradzającym tajemnice odebrać taką możliwość. Za późno. Setki lewych szamanów, a szczególnie kabotynek szamanek-feministek, puszy się swoją niby-wiedzą i werbuje wyznawców do swoich pretensjonalnych kultów. Jest to nowa maska pseudouduchowionego, niszowego narcyzasępa.

Wspaniale, że organizuje się festiwale pokazujące tańce, śpiewy i rytuały innych kultur. Jest we Wrocławiu znakomity Brave Festival. Dzięki temu możemy zapoznać się z dzieciństwem nieznanym nam krewnych ze wspólnej rodziny ludzkiej. Ale jeśli z owych rytuałów weźmiemy to, co nam pasuje do naszych obrzędów, bez dogłębnej znajomości ich znaczenia oraz kontekstu kulturowego, w jakim funkcjonują, to będziemy tylko poszukiwaczami wrażeń domagającymi się, by nas podziwiano za nasze wyimaginowane, egzotyczne uduchowienie.

## ■ NARCYZ SCENICZNY

Na telescenie jest podobnie jak na deskach teatrów czy estrad. Mamy domorosłych, oswojonych, gładkich narcyzowatych kokietów telewizyjnych, czyli parkę mizdrzących się politycznych komentatorów TVN-u, przerzucających się ripostami jak w filmach Woody'ego Allena, których traktować należy bardziej jako komedianów telewizyjnych, takich Flipów i Flapów. Mamy też artystów narcyzów zbuntowanych przede wszystkim obyczajowo. Są to ekshibicjoniści i ekshibicjonistki zamęczający widzów swym życiem erotycznym nieakceptowanym przez mieszcuchów i represjonowanym przez heteroseksualnych tępaków. W ich wydaniu nawet *Wozzeck*, który jest operą o zdruzgotaniu wrażliwego człowieka przez pruską biurokrację administracyjno-wojskową, staje się wołaniem o sprawiedliwość dla gejów. Bohaterowi opery w jej zeszłorocznym

wystawieniu w Teatrze Wielkim w Warszawie przypisano bowiem gejowskie i pedofilskie skłonności, chociaż w librecie nie ma o tym ani słowa. Nie ma tam ani tańczących lolitek, ani mężczyzn przy pisuarach. To wszystko Krzysztof Warlikowski dodał od siebie. Zawęził dramat uniwersalny do dramatu jednej z mniejszości, i to poprzez spłylenie i wulgaryzację. Mnie teatr pisuarowy nie ciekawi. Jego miejsce jest w seksklubach.

Ekshibicjonizm gejowski można zrozumieć jako formę terapii przez manifestację marzeń, ale nie uwierzę, by geje byli obecnie najbardziej prześladowaną mniejszością. Są tylko najgłośniejszą. Gdyby cierpienia gejów i lesbijek uwarściły ich na cierpienia innych mniejszości, to mielibyśmy wysyp sztuk i filmów pisanych przez gejów dramaturgów o Cyganach i Żydach, Kaszubach i Ślązakach, Pigmiejach i Buszmenach, Kurdach i Indianach z Brazylii. To jednak się dzieje rzadko, a przecież są wspaniałe wzory sztuk zaangażowanych w obronę mniejszości, np. *Ikowie* Petera Brooka czy *Dzikusy* Christophera Hamptona. Natomiast gej epatujący swoim narcyzmem stał się łatwym, globalnym bohaterem naszych czasów, bohaterem sceny teatralnej, ekranu filmowego i telewizji naszego teleświata. Z powodu szantażu poprawnością polityczną nie wolno go krytykować, a jak jakaś merytoryczna krytyka się pojawi, ustawia się jej autora na pozycji eksponenta totalitarnych reżimów czy szowinistycznego piewcy narodowej krzepy. Żeby krytykować bohaterów gejowskiej kultury, trzeba być samemu gejem, ale takich krytyków prawie nie ma. Nie odmawiam też głębi dramatom o miłości homoseksualnej, jak np. znakomitym filmom: *Śmierć w Wenecji* Luigi Viscontiego, *Tajemnica Brokenback Mountain* Anga Lee, *Inne spojrzenie* Karoly Makka, *Całkowite zaćmienie* Agnieszki Holland. Doceniam też inteligentne zabawy kiczem w filmach Almódovara.

Nie mam nic przeciw parodom gejów. Niech się cieszą miłością, o której Platon pisał, że jest wyższa od miłości heteroseksualnej, bo zapładnia duszę. Ale dlatego też proszę – bez popisów złego gustu królującego w popkulturze. Nawet amatorski uliczny happening winien być na poziomie. A jeśli to ma być jeszcze jedna parada wulgarnej kiczu, nie pójdę na nią, ponieważ obraża moje poczucie smaku, nie mówiąc o ideałach Platona.



Najważniejsza jest obrona kultury wysokiej zagrożonej przez zalew popularyzacji, bez względu na to, czy jest to kultura heteroseksualistów czy homoseksualistów, czy jakichkolwiek „innych” odmiennie zorientowanych seksualnie. Kultura gejowska pojawiła się w ostatnich dekadach w Stanach Zjednoczonych jako ruch społeczny sprzyjający ujawnianiu się homoseksualistów. Słowo *gay* – wesoły, radosny – zostało wybrane, by podkreślać radosny charakter tych beztroskich związków. Owo ujawnianie się radujących się sobą gejów przybrało charakter ostentacyjnych manifestacji w strojach i zachowaniach, często happeningowo-teatralnych, zarówno w klubach, jak i na ulicy. Mamy więc tu do czynienia z rewolucją obyczajową wymierzoną przeciw bogoojczyńnianym wartościom amerykańskiego, konserwatywnego, purytańskiego społeczeństwa. Beztroską zabawę przerwał wybuch AIDS, który nadał tej kulturze rys głęboko tragiczny. Jednakże gejowska rewolucja nie przebiega, niestety, pod hasłami wysokiej kultury homoseksualnej, choćby w stylu nowojorskiego kampusu, żartującego sobie z retro-kiczu, lecz pod hasłami całkowitego libertynizmu w ekspresji obyczajowej, zdominowanej przez pozbawionych gustu prostaków. Proces ten ogarnął już cały świat Zachodu. Mam nadzieję, że jednak niektórzy wysublimowani europejcy homoseksualiści będą bronić swej platońskiej wizji przed zalewem chamstwa i popularyzacji w kulturze.

### ■ SCENICZNE CELEBRACJE NARCYZMU

Dlaczego silne osobowości narcystyczne mają aż tylu wielbicieli? Dlatego że, pozbawione samokrytycyzmu, żywią wrodzone przekonanie o swojej wyjątkowości, o swojej misji. Zwątpienie ich się nie ima. Ta złudna siła, jeśli jest poparta charyzmą i talentami manipulacyjnymi, imponuje słabym istotom, które nie mają nic prócz zadbanej lub wytatuowanej skóry. Sami widząc w sobie mało co godnego uwielbienia, wielbią silnego Narcyza w innym. Jego czy jej władcze rysy, magnetyzm spojrzenia, zdecydowanie i pewność decyzji stanowią dla nich oparcie. Czują, że dzięki takiej opiece mogą rozwinąć swój własny narcyzm, by zostać kometą na orbicie Wielkiego Narcyza.

Dzieje się tak nie tylko z gwiazdami filmowymi czy telewizyjnymi, ale również z aktorami teatralnymi i parateatralnymi perfor-

merami. W sali tortur miłości własnej na deskach sceny, gdzie królują fascynacja brutalizmem i patologią oraz ekshibicjonistyczna bebechowatość gry, znajdują oni spełnienie. Składani w ofierze na ołtarzu sztuki przez reżyserów kapłanów-ofiarników, sycąc się swym odbiciem w oczach innych, toną zatruci miłością własną. Oddając się coraz to jej bardziej wymyślnym celebracjom, nie wyegzorcyzmują jej z siebie. Sadyzm i masochizm to dwie strony tej samej monety – władzy jednego narcyza nad drugim. My, widzowie, w cierpieniach narcyzów sceny rozpoznajemy część siebie. Jednakże to rozpoznanie nie przynosi *katharsis*, bowiem prezentowana jest tam tylko pewna diagnoza.

Lekarstwo szlachetnych uczuć i wyższej inteligencji dostępne jest tylko dla tych, którzy przekroczą miłość własną: czy to przez głęboki wgląd w jej trucicielski charakter, czy przez altruistyczną pracę dla innych. Wysoki dramat i teatr odrodzą się wtedy, gdy wejrzymy głębiej pod maskę i skórę Narcyza i zaczniemy słuchać rytmu oddechu i bicia serca całego istnienia, każdej spotkanej istoty. Zmusi nas do tego nasze cierpienie pod krępującą serce maską i skórą Narcyza.

Jacek Dobrowolski